



CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE DLA DZIECI.

Prenumerata wynosi: w Warszawie Rocznie Rs. 4 i kop. 10 na Szpital Dziecinniey.—Kwartalnie Rs. 1 i kop. 2½ na Szpital Dziecinniey.—
Na prowincyi i w Cesarstwie z opłatą poczt: Półrocznie Rsr. 2 kopiejek 50 i 5 kopiejek na Szpital Dziecinniey. — Za granicą Rsr. 6.—
Adres Redakcyi: Ulica Marszałkowska Nr. 77.



Kuna leśna.

Czytania Wieczorne.

V.

— Ojcie, ojcie—wołały dzieci na wchodzącego p. Kanskiego—same przeczytałyśmy to, co założyłeś w książce i wiemy co to jest, do jakiej poezyi należy...

— To legenda—wołała Józia.

— To poezya opowieściowa — dorzucił Staś.

— Nieprawdaż? nieprawdaż, ojezulku?—pytał Kazio.

— Za pozwoleniem, ja nie nie wiem, nie rozumiem. Nie wiem, co czytałyście? Nie pamiętam, co założyłem...—tłumaczył się p. Kański.

— Pachole na grzybach, przez Wincentego Pola—przerwała łagodnie gwar dzieci Halka.

— Teraz jestem już w domu—rzekł siadając p. Kański, część tego, co przeczytałyście, jest niezapreczenie legendą i należy do poezyi opowieściowej.

— Jakto część?—zawołała obalamucona Józia.

— Tak, część tylko—powtórzył p. Kański.—A dla lepszego zrozumienia rzeczy, odczytaj nam to raz jeszcze, Halko.

Halka przeczytała:

Pacholę na grzybach.

Coś mi się w lesie migło gąszczem niby,
Odwiodłem kurkę—patrzę zaczajony:

Aż tu pacholek, co wyszedł na grzyby,
Stoi przedemną bardzo zatrwożony.

Nie bój się, dziecię! co to robisz w lesie?

„Zbieram co znajde!”—chłopak mi powiada—

Czasami jaja, co je ptaszek niesie

Czasami także grzyb się dobry nada.“

„Przednówek ciężki—to i to pomoże...

Matus tam z dziećmi czeka na mię doma,

A jak paciorek zmówię sobie w borze,

Nigdy nie wrócę z próżnemi rękoma.“

Miły chłopczyna!—znał kędy po lesie

Ptaki się gnieźdzą;—znał jaja po krasie;

Znał który ptaszek jakie jaja niesie,

Jak je podbierać i o którym czasie?

Najbardziej sobie kacze jaja chwalił:

Bo gniazdo w gniazdo, jak kępa przy kępie,

Ale się na to tylko trochę żalił,

Że trudny przystęp w bagnistym ostępie.

Z kolei przyszło na jaja słowicze...

Rzekł mi chłopczyna: „Ja jemu nie szkodzę.

Ja mu tak dobrze, jak skowronkom życzę,

Bo któżby śpiewał, gdy po lesie chodzę?“

Żdziwiony pytam: Toć i skowronkowi

Gniazd nie podbierasz?

„A brońże mię Boże!“

—Ze trwogą chłopak na to mi odpowie—

„Taką się krzywdą, człowiek nie wspomógł!

Skowronek, panie! to ptaszyna wczesna,

I Matka Boska—do tego—Bolesna

Wszystkie skowronki w swęj opiece trzyma:

Więc na skowronka żadnej trwogi niema!“

Jakto? — pytałem—

„Alboż wy nie wiecie,

Że to Zbawiciel chodził po tym świecie?

Gdyby dziś człowiek choć w poprzek tą drogą

Przeszedł, gdzie Chrystus stanął niegdyś nogą,

Byłby już zbawion!—lecz wówczas ludziska

Były niedobre—bo podle żydziska!

Więc chociaż Pilat umył sobie ręce,

Chrystus na krzyżu oddał ducha w męoe!

Pod krzyżem stała Matka u stóp Syna,

I ból ją wielki na duszy ucisnął...

I zaśpiewała w niebiesiech ptaszyna:

Spojrzy się Marya—skowronek zawisnął!

I tak nad Panem użalił się wiernie,

Że chciał mu odjąć choćby jedno ciernie,

Więc póty dzióbkiem i dziobał i dziobał,

Az cierń z korony najświętszej odskubał.

Błogosławiła Marya skowronkowi,

Podniósłszy w niebo te oczy żalosne,

I rzekła w łasce:—Będziesz człowiekowi

I Bogu śpiewał najpierwszy na wiosnę!

A jako rzekła mu Matka Bolesna,

Tak się też iści—bo ptaszyna wczesna,

Nim śniegi giną, już w niebo się wznosi,

I wielką chwałę Matki Bożej głosi,

Więc któżby gniazdo skowronkowi psował?
Kiedy cierń święty jego gniazda strzeże?
Będziem się chować, jako Bóg nas chował,
Tak matuś mówią—i ja temu wierzę.“

To rzekłszy nisko i wesoło skłonił,
I ku domowi z koszem jaj pogonił,
A jam pomyślał:

Po co tu legendy?

Gdzie wiara w sercu, tam i cud jest wszędy!

— A co, wszak miałem słusność, kiedym mówił, że chociaż cały utwor do *legend* zaliczają, właściwą legendą jest tylko część jego, a mianowicie...

— Słowa chłopczyny są legendą, a cały wstęp dodany przez poetę—przerwał Staś—tłumaczy nam, gdzie i od kogo poeta tę legendę posłyszał.

— A nie mógłbyś mi powiedzieć, dla czego poeta ten wstęp dodał?—zapytał chłopaka p. Kański. Staś nieodpowiadał.

— Dla tego zapewne—wyręczył go p. Kański—aby nam przypomnieć, że podać i legendę poeci nie wymyślają, lecz je biorą z ust ludu i ubierają je w piękny wiersz, to jest w piękną formę.

— My czytałyśmy już jedną legendę, *Wiano królowy*—rzekła zamyślona Józia—ale ta do tamtej niepodobna. Tam lud w formie legendy opowiada wypadek historyczny, a tu... Przecie to tak nie było. Skowronek nie wydziobał ciernia z korony Zbawiciela, ani dla tego pierwszy na wiosnę przylatuje do nas; więc to nie jest już wypadek historyczny, na legendę przerobiony?

— Uwaga twoja słuszna, moje dziecko—rzekł p. Kański.—Legendy i podania w dwójaki sposób powstają; albo tak, jak *Wiano królowy*, gdy wypadek prawdziwy lud opowiada niewiernie, zmieniając nie jeden szczegół, a szczegóły mniej zrozumiałe zastępując cudownymi; albo tak, jak owo podanie o skowronku. Zdziwiło to lud nasz, że ptaszyna taka drobna i wątła pierwsza do nas na wiosnę przybywa, pierwsza swą pieśń wydzwania, słodząc najcięższy trud rolnika, bo orkę i siejbę wiosenną. Nie umiał on sobie tego wytłumaczyć, bo długo nie wiadano, że ptaszek ten ciepła nie znosi i dla tego z Afry-

ki, gdzie zimuje, ucieka do nas, gdy tylko tam słońce przygrzeje, a u nas zabłyśnie; a przecie chciano dojść powodu tego zjawiska. Wtém ktoś przypomniał sobie opis męki Zbawiciela w Ewangelii, w którym powiedziano, że gdy P. Jezus zawieszony był na krzyżu, cała natura litowała się nad Jego cierpieniem, ciemności świat okryły, skały nawet twarde i zimne pękały. I oto z tych kilku szczegółów wysnuł lud tę piękną legendę, w której drobna ptaszyna nie poprzestaje na współczuciu, ale pragnie choć trochę ulgi przynieść Zbawicielowi; a dobre chęci tyle mogą, że podczas gdy ludzie potężni tylko męczyć Go umieją, ptaszyna zmniejsza Jego cierpienia.

— Ale dla czego lud uważa pozwolenie przybywania wczesnego na wiosnę za nagrodę dla skowronka?—zapytał Kazio.

— Zdaje mi się—odrzekła Halka—że ja to rozumiem. Dla istot pocziwych, do jakich ten skowronek należy, nie masz większej radości nad sprawienie komuś przyjemności. Więc Matka Boska pozwoliła mu śpiewem swym rozweselać człowieka, gdy cała przyroda jeszcze jest martwą i żaden głos nie ożywia pól i lasów.“

— Słusznie, Halko; legenda ta należy do najpiękniejszych z pomiędzy tych, za pomocą których lud tłumaczył zjawiska natury, gdy nieznał zoologii, fizyki i innych nauk, dziś wszystkim lepiej znanych. Ale może mi Staś coś powie o jej treści, myśli głównej i formie?

— Treścią tego utworu—zaczął Staś tak uroczyście, że wszyscy śmiechem parsknęli, co mu na chwilę wątek myśli przerwało; lecz wkrótce mówił dalej—treścią jest legenda o skowronku; myślą jego główną ta prawda, że i najdrobniejsza istota przy miłości i dobrej woli coś pocziwego zrobić może. Forma... forma...—kręcił się Staś zakłopotany, co znowu śmiech wywołało.

— Już ja cię wyręcę, mój ty profesorze rzekł p. Kański. Forma tu trochę niezwykła. Opowiedziana tu przygoda myśliwego, rozmowa jego z napotkanym chłopczyną, a sama legenda jest tylko wpleciona, jako opowiadanie tegoż chłopaka. A w jego słowach tyle prostoty i rzetelnego uczucia, że chyba w samą

rzeczy Pol dosłownie powtórzył wyrazy z ust wieśniaka usłyszane.

— A przecież te słowa piękne bardzo, pomimo swej prostoty—zauważyła Józia.

— A raczej *dla swej prostoty*—poprawił ojciec—Poezya piękna, bo pełna prostoty, to niby dziecię tak miłe, że nawet w koszulce zachwycą; poezya piękna, bo ozdobna, to jak dziecię piękne tylko w odświętnym stroju.

A. Dzieduszycka.

KUNA LEŚNA.

Zwierzę to, rozpowszechnione w całej prawie Europie północnej i środkowej, jest nadzwyczajnie drapieżne i krwiożercze; żyje w lasach, w dzień zazwyczaj się ukrywa w dziuplach drzew, lub w opuszczonych gniazdach wiewiórek, w nocy wychodzi na żer i chwytą nietylko ptactwo, ale i wiewiórki, i inne drobne zwierzątka. Kuna jest niezmiernie zręczna i zwinna, wybornie łązi po drzewach, wciska się z łatwością w najciaśniejsze kryjówki, ma bowiem ciało długie i wysmukłe, a nogi krótkie. Futro jęj kasztanowate znane jest pod nazwą tumaków. Najpiękniejsze gatunki tego futra pochodzą ze Szwecyi, gdzie też przebywają największe kuny leśne. Z łatwością możemy wyliczyć cechy szczególne tego zwierzęcia; nazwiemy je więc najpierw pazurówatę i stąpającą na palcach, a potem naturalnie drapieżną. Jest wiele innych zwierząt, które się odznaczają, tak samo jak kuna, długim i wysmukłym ciałem, krótkimi nogami uzbrojonymi w ostre pazury, wielką drapieżnością i zręcznością w chwytaniu zdobyczy; wszystkie też w ogóle zaliczone są do wspólnej rodziny łasic. Łasica właściwa, znacznie mniejsza od kuny, tępi myszy i szczury, dusi także i ptaszki; na północy przebywa pokrewny jęj gronostaj, latem brunatny z czarnym końcem u ogona; zimą całe futerko jęgo bieleje, oprócz tego koniuszczka ogona, który pozostaje czarny. Kosztowne futro gronostajowe, używane na płaszcze królewskie, a teraz często i na o-

krywki lub mufki kobiece, naszywane jest temi ogonkami. W naszym kraju z tęg rodziny najpospolitszy jest tchórz, który straszne szkody wyrządza w kurnikach, bo niemniej jest drapieżny i żarłoczny od innych łasic. Ale nie będziemy tu opisywali szczegółowo wszystkich zwierząt do tęg rodziny należących, zostawiamy to na później, gdy do opisu stosowne rysunki dołączymy.

M. J. Z.

NA LETNIEM MIESZKANIU.

OPOWIEDZIAŁ

Władysław Nowicki.

(*Ciąg dalszy*).

XI.

Wycieczka do lasu. Odjazd ojca o świcie.
Kościół.

Przez kilka dni następnych dzieci przypominały sobie szczegóły, odnoszące się do budowy domu; zasypywały rodziców pytaniami, odnoszącami się do przeznaczenia różnych budynków i ich części składowych, do rozmaitych materiałów budulcowych i narzędzi służących do ich obrabiania. Wiele rzeczy łatwo teraz rozumiały po onej lekcyi gadatliwego cieśli przy budowlach, mogły już bez trudności odrabiać wypracowania piśmienne:

Józio spisywał szeregi wyrazów: Narzędzia ciesielskie, narzędzia stolarskie, części domu, nazwy budowli.

Julcia pisała małe ćwiczenia: Części domu i ich przeznaczenie. Budowle, ich przeznaczenie i nazwy. Kamienica—chata. Udział rzemieślników przy budowie domu.

Zosia pisała obszerniejsze już ćwiczenia: Człowiek potrzebuje domu. Co potrzebniejsze, pałac czy chata? Opisanie zagrody rolnika. Miasto—wieś.

Wszystkie te wypracowania dzieci czytały na głos, ojciec dawał im wskazówki, jak je poprawić, rozszerzyć, uzupełnić; co wykona-

wszy, przepisywały je na czysto, poczem ojciec czytał je, podkreślając tu i owdzie czerwonym ołówkiem; dziewczynki potem rozpatrywały kajety i nieraz dobrze sobie nałamały głowy, zanim zrozumiały, dla czego ojciec podkreślił, co tu i jak poprawić trzeba.

Wszystko to ciągnęło się dopóty, dopóki ojciec pewnego poranku nie powiedział:

— Dzieci! zaraz po śniadaniu weźmiecie się do roboty, nie tracić czasu, bo obiad będzie wcześniej; poczem zaraz pojedziemy do lasu.

— Jaki nasz ojciec dobry—wołały, cisnąc się do rąk jego.

Prawdę powiedziawszy, nauka w tym dniu szła kulawo. Mama zajęła się jakimś tajemniczymi przygotowaniami. Julcia była roz-targniona, mało pojmowała z tego, co ojciec mówił; lekcyja wcześniej się też skończyła niż zwykle, a ojciec poszedł na werendę i czytał gazety i listy, które przyniesiono z poczty.

— Muszę wam coś ciekawego powiedzieć—rzekł w czasie obiadu—zostaniecie na jakiś czas same z mamą, mnie ważne sprawy wzywają do Warszawy.

Dzieci zasmuciły się bardzo.

— To i my z tatą pojedziemy do Warszawy.

— Wy zostaniecie, ja do was niezadługo powrócę.

— To już dziś nie pojedziemy do lasu—rzekł Adaś smutnie.

— Owszem, pojedziemy—odrzekł ojciec—jutro rano wyjeżdżam.

Niezadługo też obiad się skończył.—Przed ganek zajechała fura, na której siedzenia pokryte były dywanami. Zapakowano w nią jakieś tłomoczki, węzłki; siedli wszyscy, niewylączając Marysi i Kulawiny i ruszyli z miejsca.

Droga, lubo była przyjemna, zajmująca, nie cieszyła jednak dzieci, przygnębionych myślą o jutrzejszym rozłączeniu z ojcem.

Wjechali nareszcie do lasu, nie zatrzymali się jednak zaraz na brzegu, tylko pojechali w głąb, upatrując odpowiedniego miejsca. Droga, piaszczysta z początku, zmieniła się potem; szła ona parowem, po obu jej stronach wznosiła się w górę ziemia, a na niej

drzewa. Zaraz za parowem zjechali na bok wązką, zarośniętą, wcale nieujężdżoną drożyną i zatrzymali się na zielonej polance.

— Cóż to za dzieci!—mówił ojciec—są w lesie, a nie nawołują, nie cieszą się.

— Jakoś mi bardzo kwaśne miny macie—rzekła mama.

— Smutno nam, bo ojciec odjedzie—odpowiedziały dziewczynki.

— Przecież nie na stracenie jadę—mówił ojciec—powrócę niezadługo, rozruszajcież się, nie lubię dzieci ponurych.

Zachęta podziałała; dzieci zapomniały o smutku, który je jutro dopiero miał spotkać i odzyskały zwykłą swoją swobodę i wesołość.

— Czy pójdziemy na jagody, czy na grzyby? a może na orzechy—rzekła Zosia.

— Chciałabyś, moja córko, wszystko mieć odrazu—powiedziała mama—na wszystko jest właściwe miejsce i pora. Jagód może znajdziemy nieco, grzyby także powinnyby być, bo duże deszcze padały, chociaż borowiki, (grzyby prawdziwe) znajdują się obficie dopiero pod jesień. Co zaś do orzechów...

— Są, są orzechy—wołała Julcia, zrywając je z krzewu leszczyny.

— Zapewne—rzekła mama—tylko jeszcze niedojrzałe.

Rozgryzła orzech i pokazała w środku jego małe ziarnko.

— Te orzechy jeszcze nie nie warte—dodała—pora ich jeszcze nie nadeszła.

— Pójdźcie—rzekł ojciec—zaprowadzę was na jagody.

Wkrótce dzieci ożywiły się nad miarę, biegały po lesie, upatrywały jagód i grzybów na ziemi, ptaków i wiewiórek na drzewach. Odzywające się czasem śpiewy ptaków i pukanie dzięcioła zaciekały dzieci i w głąb lasu pociągały.

— Ja myślałem—mówił Adaś—że w lesie jest bardzo wiele jagód i grzybów, a tutaj niema nic.

— Niema tu, to będzie gdzieindziej—odrzekł ojciec—trzeba szukać.

— Patrzenie, ogień, gore—rzekła Julcia, zwracając się ku polance, z której rzeczywiście dym gęsty wznosił się do góry.

— To Kulawina rozpala ogień—rzekła mama—będzie nastawiać dla nas samowar.

— Ach, będzie podwieczorek—odezwała się Zosia—i jeszcze jaki suty podwieczorek, nabieramy do niego jagód i grzybów.

— Tylko nie łapcie, dzieci, ryb przed niewodem—rzekł ojciec— a zresztą, w cóżto zbierać będziecie te jagody?

— Ach, prawda—zawołały razem obie dziewczynki—przecież na jagody chodzi się ze dzbankiem, cóż my teraz poczniemy?

W téj chwili ukazała się od strony polanki Marysia, niosąca naczynia.

— Widzicie—rzekła mama—ona roztrośniejsza od nas, pamiętała o tém.

— Cóż, kiedy takie małc niesie dzbanuszki—mówiły siostry.

— Zobaczymy, czy nabieracie je pełne.

— Hop, hop!—zawołał ojciec w oddaleniu.

Chórem odezwały się dzieci i pobiegły w stronę głosu.

— Tutaj macie jagód podostatkiem—rzekł ojciec.

Dziewczynki nie mogły zaraz zobaczyć jagód, co kryły się między listkami, a przytém duże paprocie na wysokich łodygach, o pierzastych liściach, tworzyły jakby dach nad ziemią. Dziewczynki zasmuciły się trochę, bo znalazły tylko czarne jagody, a myślały o czerwonych.

— Czerwonych jagód—rzekł ojciec—tutaj jest mało, nie rosną one w cienistych lasach, trzeba by ich szukać na wycinkach, w porębie.

Prędko znudziła się ta robota; nieprzyznając się jednak do tego, dziewczynki pracowały usilnie, aż wreszcie ponapełniały dzbanuszki. Marysia wróciła z jagodami do polanki, a dzieci z rodzicami chodziły jeszcze po lesie. Zobaczyły z daleka coś czarnego; nie był to dzik ani niedźwiedź, straszydło stało nieruchome, a wielkie, jak kilka niedźwiedzi. Z bojaźnią zbliżały się. Był to pień drzewa, wywróconego przez burzę z korzeniami, sterczały one w górze wysoko, a pomiędzy nimi było dużo ziemi czarnej, tworząc niby tarczę, niby ścianę okrągłą, stojącą nad dołem, pozostałym na miejscu owego drzewa i korzeni z ziemią. Zaszedłszy

z drugiej strony, zobaczyły długi kłoc drzewa, wznoszący się ukośnie nad samą ziemią; drzewo trzymało się jeszcze resztkami korzeni u ziemi. Weszły na wywrot i chciały iść po nim nad ziemią ku górze, rodzice zabronili im tego.

— Przypatrzcie się lepiej—mówił ojciec—jakie to są duże korzenie drzewa; tu macie najlepszą sposobność do tego. Z cienkich takich korzeni—mówił dalej—robią koszyki; te zaś grube korzenie razem z pieńkiem, po odpiłowaniu kłoca, stanowią karpinę; smolna karpina, przejęta żywicą, porąbana na drobne drzazgi, stanowi łuczywo, którym wieśniacy świecą wieczorami na kominie. Z karpiny wytapiają także smołę.

— Smoła używa się do smarowania wozów—przerwała Julcia.—Widziałam jak formal maczał kiść w maźnicy ze smołą, niby pióro lub pędzelek w kałamarzu i smarował oś u wozu.

Usiedli wszyscy na powale t j. na owym wywrocie i zaczęła się rozmowa o przedmiotach otaczających. Dzieci pokazywały różne drzewa i krzewy i zgadywały ich nazwiska i użytek. Ojciec kazał opowiedzieć Julci to, co napisała raz o pożytkach z drzew. Dziewczyna rada, że się dostała do głosu, trzepała jak z książki, co następuje:

— Pożytki z drzewa są rozmaite, najwięcej służy ono na budulec i na opał. Drwale, tracze i cieśle przerabiają drzewo na wszystkie sposoby. Nasze lasy obfitują w drzewo sosnowe, którego też najwięcej u nas używają; te wszystkie budowle, cośmy widzieli, były sosnowe. Służy ono nie tylko na takie zwyyczajne budowle, używają go także do budowy mostów, do budowy okrętów i na maszty. Bednarze z sosny lub innego drzewa strużą klepki, a z nich zestawiają różne naczynia: jak konewki, szafiki, wanienki, balie, stągwie, beczki.

W innych stronach kraju rosną w obfitości inne drzewa iglaste, jak świerk, jodła, modrzew. Wszystkie te drzewa są bardzo pożyteczne; używają się nie tylko na maszty, okręty, na budynki, ale jeszcze i na różne wyroby stolarskie, tudzież na instrumenta muzyczne: na fortepiany, skrzypce, gitary, basetle, (kontrabasy).

chciała zwiększyć swą pracę nad słabe siły; ja zaś nie mając tyle śmiałości, aby ją jawnie powstrzymać, w milczeniu starałem się we wszystkiem matkę uprzedzić i jak najmniej roboty dla niej pozostawić.

Grześ, poczciwy chłopak, nie tylko nie był w naszym ubóstwie ciężarem, ale przeciwnie pomocą, a oddam mu tę sprawiedliwość, że bez niego w wielu razach sambym wszystkiemu nie podołał; był on dla nas jakby spuścizną dobrego serca dziadzi, dla mnie towarzyszem, a dla matki mojej, która w niczem między nami nie czyniła różnicy, najlepszym synem i z własnego popędu, bez przymusu, oddawał się pod moje zwierzchnictwo i był mi powolnym, jak ja niegdyś dziadzi. Tym sposobem, powoli i nieznacznie, stawałem się niejako głową domu, a nieraz (muszę tu wyznać) moja miłość własna doznawała uczucia niejakięj dumy, gdy matka od czasu do czasu poradziła się mnie w jakimś zdarzeniu; natenczas ze swęj strony, zwywałem wewnątrznie rady dziadzi Michała, który w mojem rozumieniu był zawsze przy mnie i nigdy mię nie opuścił w złym razie. Nie potrzebuję powiadać, że nauka z Grzesiem szła swoim trybem, a wzajemne współzawodnictwo było bodźcem do postępów.

Nie będę tyle zarożumiałym, abym przypuszczał, że słabą głową i dziecinnemi rękoma zastąpiłem mądrość i niezmordowany trud dziadzi, którego brak wszędzie, na każdym kroku, w najmniejszym zakątku, czuć się nam dawał; wiedziałem aż nadto, iż wszystkiemu tak jak on nie podołam, lecz zapamiętałem jego ostatnie słowa: „...*Pozostaje ci tylko czynić wszystko, co należy i coś powinien, a Bóg cię nie opuści.*“ Jakoż czyniąc wszystko według słów tych mądrych, wierzyłem, że Bóg jest przy nas.

Zaprawdę, praca jest wielkim, nie zrównanym talizmanem i niezawodnym środkiem do zdobycia spokoju. A gdy w czas jakiś, ujrzał drogi uśmiech matki, który z pod tłoczających ją smutków wydobywał się, jak słońce z pomiędzy chmur, o, jakże byłem szczęśliwy!... O! ten uśmiech, cóżto za wielka zdobycz dla synowskiego serca!

I znów, jak niegdyś, we troje, matka, Grześ i ja, skupiliśmy się silnym węzłem przy na-

szych dwóch drogich mogiłach i znów zapomnieliśmy, że jest za naszą szczupłą zagrodą jakiś świat inny—o! czemuż i on o nas niezapomniał?

XIX.

Pierwsze uczucie gniewu.

Wuj Grzegorz, od czasu powtórnego oderwania naszego pola, które, jak ludzie mówili, o śmierć ojca przypawiło, już nigdy się u nas niepokazał; raz tylko, pamiętam, przybył już po śmierci ojca, ale dziadzio spotkał go w bramie, kilka tylko słów ze sobą zamienili i wuj śpiesznie odszedł, a oddaliwszy się krzyczał i odgrażał się dziadzi. Ja, chociaż stosownie do upomnień matki, szanowałem wujka, jako starszego krewnego, jednak widząc, iż po jego odwiedzinach zawsze się matka spłakała, rad byłem, że o nas zapomniął; wcale nawet nie żałowałem onej torby z łakociami i zapasami, bo mając dość z łaski Boga w naszej mierności, nie pożyłamy cudzego.

Było to w czas jakiś po śmierci dziadzi, dzień był pogodny i ku wieczorowi, po całodziennęj pracy, bawiliśmy się z Grzesiem, to piłką, to biegając na wyprzódki, matka zaś siedziała przed domem, przypatrując się naszym zabawom; gdy ujrzelśmy ku domowi naszemu zmierzający powóz, zaprzężony w cztery żwawe konie. Przypuszczałem zrazu, iż może jacyś podróżni zbłądzili, a że żadna droga pod naszą chatą nie przechodziła, zatem sądziłem, iż powrócą na gościniec i przypatrywałem się obojętnie, gdy wtém powóz, a był to żółty koczobryk, zatrzymał się przed naszymi wrotami, a woźnica zawołał:

— Hej, chłopaki, brama, a żywo!

Grześ, nie wiem dla czego, umknął przez płot w ogrody i mnie się chciało pójść za jego przykładem, lecz nagle sam siebie zapytałem -- coby dziadzio uczynił?— Zapewne postępując stosownie do odebranej odpowiedzi, pobiegłem otworzyć nasze wrota, które przeznaczone dla pieszych, okazały się za wąskie na ten powóz paradny, za co woźnica kląć zaczął a powóz musiał pozostać za bra-

ma; wuj Grzegorz wysiadając mruknął z pasyą:

— Ten próżniaczysko Michał plondrował tu tak długo, a nie mógł szerszych wrót zrobić.

— Czemu to wuj za życia mu tego nie powiedział?— odparłem oburzony, a zdawało mi się, że nie ja mówię, ale dziadzio z nieodstępnym palcem na ustach podszepnął mi tę odpowiedź. Pierwszy to raz w życiu, o ile pamiętam, doznałem uczucia gniewu i wuja w rękę nie pocałowałem, a gdyby nie stanął mi przed oczyma ów palec, który zdawał się kiwać na mnie z zadowoleniem, byłbym się rozplakał ze złości i z niemocy powetowania krzywdy dziadzi.

— Hm! hm! to i ciebie smarkaczu kierują na wojaka!—mruknął wuj Grzegorz.

Tę obrazę puściłem mimo uszu, jako osobistą, bo ciągle mi brzmiała jeszcze krzywda drogiej pamięci zmarłego.

Za wujem wysiadł z powozu jakiś jegomość pękaty, małego wzrostu, czerwonej twarzy, a dziwnie był ubrany, nie miał na sobie kapoty, jaką widywać byłem przyzwyczajony, ale krótkie suknie różnobarwne, frak kolorowy, takąż kamizelkę, obwieszoną błyszczącymi łańcuchami; dostrzegłszy mnie, rzekł:

— A co to jest, synek pani komendantowej? wcale piękny kawaler.

Zaczął mi się przypatrywać, gładzić po twarzy i dodał:

— Za przyszłą bytnością przywiozę ci, chłopcze, piękne zabawki, a tymczasem pozwól sobie ofiarować na gruszczeni.

To powiedziawszy, dobył jakieś pieniądze z woreczka i chciał mi dać.

— Dziękuję panu, gruszki mamy w sadzie naszym, a zabawkami się nie bawię—odparłem, usuwając się od przyjęcia datku, a zawsze mi się zdawało, że dziadzio Michał z palcem na ustach podyktował mi tę odpowiedź. Spojrzał na mnie niechętnie wuj Grzegorz i mruknął pogardliwie:

— Od ziemi smarkacz nie odrósł, a już harda dusza w ubogim ciele.—Obaj popatrzeni na mnie złośliwie i skierowali się ku chacie.

Ja, pomimo tego, że niegrzecznie się znalazłem, nie czułem w sobie żadnego wyrzutu

ze strony drogiego mojego zmarłego za mój postępek, gdyż dziadzio wszelkich datków od obcych zabronił mi przyjmować.

Goście niedługo z matką zabawili, ja się usunąłem i z Grzesiem zaglądałem z za płotu, jak powracając niezadowoleni rozprawiali ze sobą gorąco; dopiero gdy już odjechali, wysunąłem się z mojej kryjówki i pobiegłem do matki, którą zastałem smutną, a nawet dostrzegłem śladów łez; pieściła mnie matka przez cały wieczór i przyciskała do piersi, starałem się o ile mogłem pocieszać ją, a mimowoli uczułem w sobie złość jakąś przeciw tym gościom, którzy drogiej mojej matce przyczynili zmartwienia.

Nazajutrz rano, zaraz po śniadaniu, wszedł do chaty wuj Grzegorz, już sam, bez tamtego pana, ja byłem przy matce i swoim zwyczajem, pochodzącym z nauk nieodżałowanego dziadzi, miałem się wysunąć z izby, co czyniłem za każdą razą, gdy ktoś z obcych wchodził—lecz matka kazała mi pozostać, przytuliła mnie do siebie i silnie ścisnęła, dostrzegłem pomieszczenia na jej twarzy.

— Cóż tedy siostra każesz powiedzieć panu podsędkowi?—spytał wuj Grzegorz.

— Nic innego nad to, com wczoraj powiedziała—odparła obojętnie matka.

— A gdzież rozum, kobieto!—mówił z perswazyą wuj Grzegorz—odrzucać taką partycję, którąby każda z naszych dziewcząt z pocałowaniem ręki przyjęła.

— Więc o cóż podsędkowi chodzi, skoro ma tyle do wyboru?

— Zapewne nie on o ciebie, ale ty o niego dbaćbyś powinna, kiedy chce cię uszczęśliwić taki porządny człowiek; trzeba pomyśleć na koniec, aby raz wyjść z tej nędzy.

— My z łaski Boga wcale nędzy nie doznajemy—przerwała niecierpliwie matka.

— Przyjdzie starość, będziesz potrzebowała opieki.

— Mam ją przecie—wtrąciła matka, wskazując na mnie i całując mnie w głowę.

— Smarkata to jakaś opieka—rzekł złośliwie wuj Grzegorz, mierząc mnie zagniewanym wzrokiem.

We mnie jakaś złość zawrzała i wyznaję, że miałem pierwszy popęd rzucić się na wuja, ale poradziłem się mojego drogiego cie-

nia, który zdawał się w téj chwili silniej cisnąć palec do ust, jakby dawał znak, żebym się pohamował. A matka odpowiedziała pokornie:

— Ale ta opieka mi wystarcza, a nad nami Bóg!

— Słuchaj, kobieto—rzekł wuj groźnie, powstając niecierpliwie z miejsca—z tobą się dogadać trudno, więc jakież twoje ostatnie słowo: wyjdiesz za podsędką... lub nie?

— Nie dręczcie mię więcej, bracie, bo swojego zdania nie zmienię, postanowiłam sobie ślubów małżeńskich nie ponawiać, a teraz przysięgam na pamięć nieboszczyka męża i najdroższą głowę mojego syna, że dotrwam w tém postanowieniu do końca.

To powiedziawszy, matka schwyciła mię za głowę, a tuląc ją do piersi, ze łzami pokilkakroć ucałowała.

Wuj zaś rzekł z pasją:

— Potrafię ją przełamać ten twój upor, a powiem ci, że podsędek posiada dokumenta i dowody na to, że ten kawałek gruntu, na którym siedzicie, do was nie należy i wyrzuci was stąd za płot, na to ci daję słowo!... Ha, więc teraz co? czy wolisz być panią podsędkową i żyć sobie w rozkoszy, jak pani jaka, bo wiesz, że to człowiek dostatni, lub pójść z torbami?... masz oto wóz i przewóz!

— Bóg łaskaw, a świat szeroki i ja mojęj podwójnej przysięgi nie złamię—rzekła matka z mocą, jakiej w niej dotąd nie widziałem.

Wuj wybiegł z izby, trzasnąwszy drzwiami, aż się nasza stara chatka zatrzęsła, a potem, stanąwszy jeszcze w oknie, rzekł groźnie:

— Ażebyś to wiedziała, zem dobry brat, czekam jeszcze jutro do wieczora na twoję decyzję, bez której już tu moja noga niepo stanie, a możesz być pewną, że za płot wyrzucę!

Po odejściu wuja matka rzuciła mi się na szyję, a całując i ściskając, ze łkaniem wołała.

— Synku! mój Jasiu! my się nigdy nie rozłączymy, póki tylko Bóg pozwoli.

Zalani łzami, długo trzymaliśmy się w objęciach, a potem ja u nóg drogiej matki płakałem gorąco, i zdaje się, zem wtedy wy-

plakał wszystkie łzy, które z rozkazu dziadzi wstrzymałem, a w wyobraźni mojęj stał mój drogi cień z palcem na ustach uśmiechniętych, a jakoś dziwnie wyglądał, bo przy tym uśmiechu miał także oczy wilgotne.

O droga matko! już więcej kochać niepodobna, jak ja cię wtedy pokochałem!

XX.

„Bóg łaskaw, a świat szeroki!“

Błogosławiłem te odwiedziny wuja Grzegorza, które pomimo groźb jego i gniewu, nie tylko że mię niezatrwożyły i niezasmuciły, ale napełniły radością, bo mi dały poznać i ocenić całą miłość kochanej matki dla mnie i do dawnych uczuć wspólnych naszych, jakby nowy węzeł przybywał tym sposobem.

Nie długo wszakże cieszyliśmy się spokojem, w parę tygodni po tych odwiedzinach, przyniesiono nam jakiś pozew; o ile dawniej, za życia ojca i dziadzi, do niczego się nie mieszałem, teraz, jako głowa domu, z powinności musiałem się tém zająć i odczytawszy z uwagą ów pozew, zrozumiałem tyle, że sąd wzywał matkę do złożenia dowodów na posiadanie tego kawałeczka ziemi, który jakoby miał stanowić własność matki wuja Grzegorza, a pierwszej żony mojego dziada, a więc do wuja powinien był należeć—pomijam wiele szczegółów, których wprowadzić nie pojąłem dobrze i dziś nie pomnę, ale wiem tyle, że sąd nam polecał lub dostarczyć w terminie dowody i dokumenta, lub w przeciwnym razie ustąpić z gruntu, a za nieprawne jego używanie zapłacić jakąś znaczną sumę wujowi Grzegorzowi.

Przechodziło to moje dziecinne pojęcie, należało naradzić się z matką, a gdy jęj treść pozwu opowiedziałem, przyjęła to z rezygnacją prawdziwie chrześcijańską i rzekła mi:

— Cóż my tu, synku, z tobą poradzimy? Potrzeba na to doświadczenia i pieniędzy, aby się obronić; dokumentów żadnych nie mam, podróży do grodu nie jesteśmy w możności odbyć, a zatem Bóg niech będzie naszą obroną; jeżeli grunt nie nasz, to go nam

zabiorą, pójdziemy gdzieindziej pracować; a powiadam ci, Jasiu, że *Bóg łaskaw, a świat szeroki!*

Zakończyła kochana matka serdecznym uściskiem, który mię pokrzepił i na wszystkie nieprzewidziane wypadki umocnił. Całując matkę w nogi, zawołałem z płaczem:

— O! z taką dobrą mateczką ja nie zginę!

— A ja z takim pocziwym synem, jak ty! — odparła rozrzewniona matka, a coraz silniej łączyliśmy się w serdecznym uścisku, jakbyśmy chcieli węzeł nasz jeszcze umocnić.

Nadszedł nakoniec on dzień fatalny! Jak niegdyś przed śmiercią nieboszczyka ojca, zjawily się roje urzędników w naszej zagrodzie, z tą różnicą, że za nimi ciągnęły gromady rozmaitych ludzi, którzy mieli rozkuścić naszą mizerną chudobę.

Wuj Grzegorz dozorował nad wszystkiém, gdyż nasze wywłaszczenie na jego korzyść się odbywało; za przybyciem zbliżył się do mojej matki i rzekł z pewnem jakimś złośliwem przymileniem:

— Widzisz, żem dotrzymał obietnicy; wszakże wszystko zmienić się może przez jedno twoje słowo, na które podśudek czeka w moim domu. Ja zaś, jako najgłówniejszy powód tego, co się tu dzieje, mogę wszystko zatrzymać przez jedno skinienie. Od ciebie więc zależy...

— Musi ci się ta ziemia słusznie należeć, kiedy ją odbierasz; inaczej bowiem popełniałbyś kradzież, fałszu się dopuszczając. My zaś, mając z synem zdrowe ręce, z cudzego korzystać nie chcemy; czyni zatem, co słuszność nakazuje i o więcej mię nie pytaj, bo ja robię, co do mnie należy i postanowienia nie zmienię — przerwała mu matka zawsze łagodnie, ale z surową powagą.

Wysłuchawszy tych słów gorzkiej prawdy, wuj Grzegorz silnie poczerwieniał, a nie rzekłszy ani słowa, odwrócił się od matki i wybiegł na wieś.

Urzędnicy rozpoczęli smutne swe dzieło.

Patrzaliśmy, jak wywlekano na wierzch tę naszą nędzę... istne łachmany i rupiecie; ale dla nas były to nieocenione skarby i klejnoty wspólnej miłości, oblane potem pracy i moliów, a miały dla nas cenę złota i dya-

mentów... Wszystko to podnosiła brudna ręka sługi sądowego, wołającego:

— „Kto da więcej!“

My z moją najdroższą matką patrzaliśmy na to z godnością i rezygnacją, a suchem okiem! Ja bliżej niż kiedy widziałem drogi cię dziadzi przy sobie, a ów palec zdawał się spoczywać na ustach uśmiechniętych, przez co wzmacniał mię i dodawał odwagi, której nie spodziewałem się mieć tyle.

Już to nie mało przyczyniło się do uspokojenia nas, iż nasze drogie świętości domowe, krucyfiks i obrazy, jako z prawa licytacji nie podlegające, należały do kościoła, a obecny tam nasz pocieszyciel, O. Zacheusz, zabrał je do siebie, aby potem nam zwrócić.

Myszę, iż rozszarpanie naszego dziedzictwa, które wszakże dla nas było bogactwem pracy i pamiątek, trwało mało co więcej czasu, niżli na opisanie potrzebowałem; pozostaliśmy z tem tylko, cośmy mieli na sobie — wszakże powtarzam, że lubo samo przez się radować to nas nie mogło, jednak byliśmy spokojni, a przenosiliśmy ten los niespodziany z godnością i poddaniem się woli bożej.

W dziecinny pojęciu i przywiązaniu do tego, com tak od pierwszego poznania ukochał, ceniłem to na miliony, zatem z niemałym zdziwieniem dojrzałem, że na stole przed urzędnikiem z całych tych naszych bogactw, zgromadziła się zaledwie mizerna kupka groszy.

Jedno, co mi było bolesne, że Lejbka, w którego przychyłność dla nas wierzyłem, grał ważną rolę przy tej licytacji, innych żydów sprowadził i wszystko sam zakupywał, szczególnie z rzeczy nam potrzebniejszych i nędznej naszej odzieży.

Po skończonej licytacji najcięższa może w życiu oczekiwała mię próba: urzędnik sądowy, oglądając z powinności wszystkie kąty, wskazał na drzwi *gabinetu ministra* i spytał:

— A tam co?

Struchlałem na samą myśl, że ktoś mógłby się ośmielić sprofanować tę naszą świątynię: wiedzieć bowiem należy, że od śmierci kochanego dziadzi pokój ten miał dla nas niemal znaczenie kościoła; wszystko tam pozostało na miejscu, jak je drogi zmarły po-

zostawił, co środa tylko, a był to dzień śmierci dziadzi, zapalaliśmy tam światło przed obrazem Ś-go Michała, jego patrona i odmawialiśmy modlitwy za jego duszę. Klucz od tego przybytku pamiątek nieodstępował mię nigdy, sam co dnia uprzątałem z największą uwagą, ażeby wszystko na dawném miejscu pozostawić; a nawet, kiedy z Grzesiem braliśmy do nauki książki lub inne przedmioty, zaznaczałem z największą skrupulatnością kredą miejsca czasowo opróżnione, aby je napowrót w dawnym porządku zapęlnić. Tak zaś wierzyłem, że ów nasz drogi przybyteczek posiadał charakter święty i nietykalny dla wszystkich, iż na zapytanie urzędnika odpowiedziałem z dziwną naiwnością:

— To *gabinet ministra*. (d. c. n.)

Gra towarzyska.

Rękawica.

Po grach bieganych mogą dzieci w spokojniejszą grę się zabawić.

Zasiądźcie w koło i wybierzcie losem, kto ma grę zaczynać—będzie naczelnikiem. Naczelnik rzuca naprzeciw siebie siedzącej osobie rękawiczkę, ta starać się powinna schwycić ją ręką, lub na kolanach zatrzymać, pytając się:

Co znaczy ta rękawica?

Naczelnik odpowiedzieć musi cokolwiek mu przyjdzie na myśl, ale do rymu—np.:

Pyt.—Co znaczy ta rękawica.

Od.—Że przemawiam do szlachcica.

Osoba mająca teraz rękawiczkę, rzuca ją znowu naprzeciwko, sąsiadowi tej osoby, co rzuciła najpierwsza; jeżeli ma gotową odpowiedź drugą do rymu na to samo pytanie, może je powtórzyć, albo odmienić według woli.

Posyłam tobie jabłuszko

Dla czego?

Bo cię lubię moja duszko.

Posyłam tobie jabłuszko

Dla czego?

Bo mam dobre serduszko.

Posyłam tobie jabłuszko

Dla czego?

Bo masz ładne uszko.

Jesli kto nie prędko znaleźć może odpowiedź, lub nie rzuci rękawiczki do tej osoby, na którą wypada kolej, albo nie złapie rękawiczki, daje fant. Dla ułatwienia gry na początek, zanim dzieci się do niej wprawia, przyłączamy więc przykładów:

Rzucam ci ołówek

Dla czego?

Napisz kilka słówek,

Rzucam ci malinkę

Dla czego?

Bo masz słiczną minkę,

Posyłam ci kwiatek

Dla czego?

Przyjaźni zadatek,

Rzucam ci zegarek

Dla czego?

Małeńki podarek,

Posyłam ci gwiazdkę z Nieba

Dla czego?

Bo ci towarzyszki trzeba,

Posyłam ci jaskier złoty

Dla czego?

Bo on leczy od tęsknoty,

Czasem można tylko figlem odpowie-
dzieć, np.:

Posyłam ci koleczyki

Dla czego?

Dla racji fizyki.

Ale dobrze wychowane dzieci powinny uważać, komu się rzuca, do kogo się mówi, ażeby nie niestosownego nie powiedzieć, nikogo nie obrazić, owszem dla każdego być uprzejmym.

S z a r a d a. (A. Sas)

Pierwsze z drugim—pytając wskazuje,

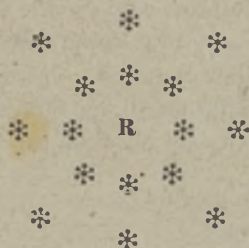
Pierwsze z trzecim—przecząc zapytuje,

Wszystko—umysł wzbogaca, czasem serce

[psuje.

Łamigłówka gwiazdka. (T. A.)

Ułożyć w kształcie gwiazdki następujące wyrazy: 1) Cesarz rzymski, 2) Bogini mitologiczna, 3) Miasto we Włoszech, 4) Rzeka w Polsce.



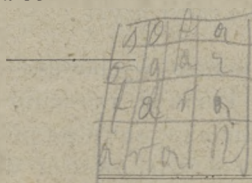
Łamigłówka w kwadraciku. (A. G.)

W kwadraciku złożonym z 16 podziałek ułożyć 6 A—3 G—1 K—1 N—2 O—2 R—1 Z—w taki sposób, ażeby odczytać w pionowym i poziomym kierunku: 1) Część ciała, 2) Gatunek psa, 3) Miasto wymienione w Biblii, 4) Trunek mocny.

Rozwiązania do Nru 39.

Z a g a d k i:

W rodzinie tej był stary człowiek i jego żona, syn ich z żoną i trojgiem dzieci, to jest, synkiem i dwiema córeczkami.



Treść.—Czytania Wieczorne, przez A. Dzieduszycką.—Kuna leśna, (z drzeworytem), przez M. J. Z.—Na letniem mieszkaniu, przez Wł. Nowickiego, (ciąg dalszy).—Kościół w Chochołowie, (z drzeworytem).—Anekdoty z Waleryusza Maksyma, (ciąg dalszy).—Pamiętniki Jasia przez Piotra Jakę Bykowskiego, (ciąg dalszy).—Gra towarzyska.—Łamigłówki.—Rozwiązania.—Odpowiedzi od Redakcyi.

Łamigłówki zgłoskowej:

Hebe
Ezaw
Nero
Ren
Yeddo
Komar
Selene
Iran
Erie
Manzoni
Iman
Roland
Arno
Dach
Zając
Kongo
Izop.

Henryk Siemiradzki.—Pochodnie
Neronowe.

PAN WŁ. NOWICKI ustępuje Redakcyi *Wieczorów Rodzinnych* na wszystkich swoich wydawnictwach rabat księgarski, którego zrzekamy się na korzyść naszych prenumeratorów; jesteśmy przeto w możności odstępować im po cenie niższej od katalogowej następujące książki:

Szlachetna Zabawa Serya 1, cena katalog. 70	zniż.	60.
Szlachetna Zabawa Serya 2, — —	75	— 65.
„ „ bez oprawy — —	65	— 55.
Początki Języka . . . — —	50	— 40.
Jak uczyć początków języka — —	25	— 20.